# PRAWDA

*Pismo tygodniowe.* *Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.*

Rok XXXIV Nr. 17. *Warszawa, 25 kwietnia 1914.* Widok 3.



## Potępieni.

W zatargu między polskim katolickim ludem a Dominikanami z Moabitu Watykan stanął po stronie niemieckich księży.

Z góry przewidzieć było można taki wynik audjencji księcia Ferdynanda Radziwiłła u papieża. «Watykan potępił postępowanie Polaków» — czytamy w telegramach.

Potępił?... za co? Za to, że swoje dzieci po polsku przygotowali do spowiedzi? za to, że po spowiedzi polskiej domagali się dla nich komunji, która przecież nie jest już ani polską, ani niemiecką? że nie wychodzili z kościoła, póki ich pruska policja za drzwi nie wyrzuciła?

Lud polski, od niemowlęctwa wzrastający w naiwnej wierze, że katolicyzm jest polską religją, że kto go porzuci, Polakiem być przestaje, a kto się go trzyma, temu reszta dodana będzie, że przeto i ojczyznę ziemską należy oddać pod straż Aniołów i Świętych Pańskich, którzy kiedyś i hakacie sprawiedliwość wymierzą,—musiał osłupieć z przerażenia, gdy od ołtarza katolickiego przemówił doń głos pruskiego policjanta. Była to dla niego nagła rewelacja tajnego sojuszu między niebem i piekłem.

Zgorszony tem świętokradztwem, nie wątpił, że je namiestnik Chrystusowy surowo skarci i napiętnuje.

Naprzód usiłowano sobie to potworne zjawisko tłomaczyć gwałtem, dokonanym przez protestancką władzę świecką nad nietykalnością władzy kościelnej, ale rychło złudzenie to rozwiali sami Dominikanie. Całe duchowieństwo niemieckie zwartym szeregiem stanęło po stronie Dominikanów, a za nim armja dotychczasowych sojuszników — niemieckie centrum.

W obronie ludu polskiego przemawiali tylko księża polscy; mówili śmiało, energicznie, ale i oni wierzyli niezachwianie, że wszystko to jest jakimś bolesnym nieporozumieniem, które się wyjaśnić musi—na korzyść Polaków. Słowem wyjaśniającym miała być, naturalnie, odpowiedź Piusa X i niezawodne przezeń potępienie wybryku hakatystów w habitach.

Wierzyli pokrzywdzeni, że papież jest nieomylny i wprost od Boga czerpie natchnienie do swych encyklik i listów pasterskich. Czyż wobec tego mogła istnieć jakaśkolwiek wątpliwość, że dostojny przedstawiciel wiernego narodu, książę Radziwiłł, zostanie przyjęty w Rzymie z otwartymi rękami, przygarnięty do ojcowskiego serca Piusa X-go, który za jego pośrednictwem osuszy łzy na licach skrzywdzonych dziatek polskich i ich rozżalonych rodziców?

Złowróżbna wieść z Rzymu padnie na te rozmodlone głowy niby uderzenie maczugi,—ogłuszy je. A jednak trzeźwa polityka mogła ją z góry przewidywać.

Dla polityki Watykanu niemałej wagi faktem było istnienie w najpotężniejszym protestanckim państwie silnego liczbą swą i organizacją katolickiego stronnictwa. Stanowiło ono rękojmię, że ostrze polityki Cesarstwa Niemieckiego nie zwróci się przeciw papiestwu, że, przeciwnie, chęć pozyskania poparcia stugłowej partji dla projektów rządowych będzie

stałą pobudką do czynienia ustępstw na rzecz prerogatyw Kościoła w Niemczech.

Od pewnego czasu w obozie centrowym widne są symptomaty wewnętrznego rozkładu. Katolicyzm przestał być dostatecznym cementem dla jego różnorodnych składników, gdyż, nie będąc znikąd napastowanym, nie potrzebuje się do obrony mobilizować. Poprostu zabrakło realnych punktów dla programu polityki katolickiej. Natomiast w bardzo wielu kwestjach społecznych i ekonomicznych coraz silniej manifestowała się międzywyznaniowa solidarność żywiołów konserwatywnych. Robotnicze związki zawodowe ewangielickie i katolickie łączyły się pod wspólną nazwą «chrześcijańskich» przeciw socjalistycznym. Ze sfer robotniczych przeniosło się to rozdwojenie na całe stronnictwo. Centralny wydział partji już obwieszcza, że centrum nie może mieć charakteru wyznaniowego lecz polityczny, że zatym przynależność do Kościoła katolickiego nie jest niezbędną kwalifikacją dla jego członków.

W momencie tak przełomowym dla polityki katolickiej w Niemczech, Papież ryzykowałby zbyt wiele, gdyby chciał zrażać sobie niemieckich centrowców dla oddania sprawiedliwości polskim swoim owieczkom. Te ostatnie, zresztą, są tak uległe, że z ich strony żadnego niebezpieczeństwa przewidywać nie można. Pierwszy polski wiec w Moabicie, bezpośrednio po zajściu w kościele dominikańskim zwołany, jednomyślnie uchwalił rezolucję, że choć Polaków policja z świątyni katolickiej wyrzuca, z obrębu Rzymskiego Kościoła żadna przemoc usunąć ich nie zdoła.

Ta rezolucja przesądziła sprawę na ich niekorzyść. Stolica Apostolska została z góry uprzedzona, że może pozwalać na najbrutalsze poniewieranie Polaków w kościele bez obawy, że władzę nad nimi utraci. Jedyny motyw, który by ją mógł skłonić do ujęcia się za pokrzywdzonym polskim ludem, strata kilku miljonów dusz, mogących się odwrócić od Kościoła i przestać zasilać jego skarbiec—upadł odrazu, a przecież łzy polskich dzieci nie mogły przeważyć szali, gdy na drugą rzucono istnienie katolickiej partji w Niemczech!

W tymże czasie w Szlezwigu analogiczne zajście na tle kościelnym miało wręcz odwrotny epilog.

Zwierzchność duchowna protestancka, zupełnie tak samo jak nieboszczyk kardynał Kopp, usiłowała zmusić pastorów do germanizowania duńskich parafjan i prześladowała opornych, niedających się użyć za narzędzie tej brzydkiej roboty. Pastor Andersen w Holehall, gdy mu konstystorz protestancki wytoczył proces dyscyplinarny za «agitację duńską», ogłosił swe wystąpienie z Kościoła i całą swą parafję pociągnął za sobą. Tak umieją się bronić Duńczycy przed uciskiem państwowego Kościoła!

Czy znajdzie się w polskich księżach i polskich parafjach tyle odwagi i miłości Ojczyzny, by wobec nieuchronnego wyboru między zaprzaństwem narodowym a niesubordynącją katolicką, wybrać to ostatnie, a wytrwać przy obronie mowy ojczystej?

***

*Post Scriptum.*

Zanim artykuł niniejszy ukazał się w druku pojawiły się w prasie telegramy zaprzeczające wszelkim «pogłoskom» o rzekomej audjencji księcia Radziwiłła i innych członków arystokracji polskiej w Watykanie. Pogłoski utrzymywały się jednak przez parę tygodni, uzupełniane szczegółami o dwukrotnej rozmowie ks. Radziwiłła z papieżem, który wezwał do siebie generała zakonu Dominikanów, a następnie skierował delegację polską do kardynała Merry del Val. Nie zaprzeczano póty, póki nie nadeszła wieść o potępieniu postępowania Polaków przez Piusa X go

Klucz do rozwiązania tej zagadki znajdujemy w artykule wstępnym *Kurjera Poznańskiego* z d. 19 kwietnia p. t. *Dyplomacja*. Organ endecji gromi prasę polską za jej gadulstwo. «Zdrowy chłopski rozum dyktuje, że albo się czyni zabiegi dyplomatyczne, albo się gada, jedno z dwóch, ale nie obie rzeczy razem, bo one się wzajemnie wykluczają».

Daje więc do zrozumienia, że toczy się jakaś poważna ukryta akcja, którą rozgłos nadany jej a świadczący o polskiem «nieuctwie politycznem» popsuć może.

O co tu chodzi? Nie o zatajenie rezultatu rozmowy przed opinją niemiecką, ta bowiem jest dokładnie i szybko informowana przez swoją prasę, lecz o ukrycie jątrzącej i gorszącej prawdy przed społeczeństwem polskiem, aby z niej snać nie wysnuło konsekwentnych wniosków i niedostrzegło na jakie manowce poprowadził je krótki rozum polityczny reakcyjno klerykalnych-przywódców.

ORJON.

# Echa Prawdy.

I. Zbyteczne załamywanie rąk. II. Szczerość doktora Bomasza. III. Niezwykły zapis hrabiego Gołuchowskiego.

I. W jednym z nowych tygodników załamano ręce nad beznadziejnością «pracy organicznej» która do żadnych jakoby nie prowadzi wyników.

Sądzisz może, czytelniku, że dzieje to się dlatego, że Polak dotąd pracować nie umie nad podniesieniem swej kultury i swego dobrobytu? że dotąd nie ocenił ogromnego znaczenia haseł, rzuconych przez pozytywizm warszawski w dobie powszechnej rozpaczy?

Nie, wcale nie o to chodzi. Załamywacze rąk boleją nad tym, że jak tylko naród, drogą pracy organicznej dochodzi (?) do potęgi (?) materjalnej (?) — wnet występują czynniki «od nas niezależne» i prawem kaduka wydzierają mu z rąk tę zdobycz. Przykładem ma być Poznańskie, gdzie program pozytywistyczny został jakoby w życie wcielony, a dziś z pomocą wywłaszczeń i ograniczeń rząd pruski czyni w dorobku polskim znaczne wyłomy.

Przypuśćmy nawet, że istotnie grozi nam to samo, co ma teraz miejsce w zaborze pruskim. Czy dlatego mamy poniechać pracy, która na podziw całemu światu pozwoliła nikłej garści Polaków oprzeć się skutecznie zakusom germańskim?

Toć gdyby nie ta względna zamożność poznaniaków, gdyby nie ich mrówcza zabiegliwość, gdyby nie ten chłopski upór, któremu Prus postawił pomnik w «Placówce» — byłaby dziś Wielkopolska doszczętnie zalana niemczyzną.

Możność prowadzenia walki nie bez nadziei zwycięstwa — zali jest rzeczą małej wagi? A możność tę mają Polacy w Poznańskiem jedynie przez to, że porośli w pazury i pierze, że trzymają się ziemi oburącz, że nie bujają w obłokach...

Zapewne, umysłowy i kulturalny stan Wielkopolski jest nieszczególny. Ale bo też w tej dzielnicy nie był nigdy stosowany właściwy program Pracy Organicznej, program rozległy i rozlewny, który zaleca *«uczestniczyć w cywilizacji ogólnej i posuwać własną»*.

Prawdę mówiąc, nigdy i nigdzie nie był on w życie wcielony, a najmniej u nas w Królestwie. Gdzie i kiedy wcielił się tu w życie pozytywizm warszawski? Myśmy pisali rozprawy filozoficzne i tendencyjne powieści o kupcach tudzież inżynierach, a rzetelnymi w życiu pozytywistami byli tu... Niemcy i Żydzi.

To też w ich rękach skupia się teraz cała niemal potęga materjalna, zaś my, po latach 40 zaczynać musimy odnowa pracę od podstaw... A niebrak takich, co nam i tu przeszkadzają zawiłym mędrkowaniem, starczym sceptycyzmem, bezzębnym zrzędzeniem, które lubi w dodatku spóźniony romantyzm snów o szpadzie.

Zanim łamać ręce nad nicością polskiej Pracy Organicznej trzeba wprzód jednej rzeczy dokonać: doprowadzić tę pracę do końca, wcielić ją w życie, wywalczyć samodzielność ekonomiczną i rozwój materjalny ziem polskich; co będzie później — zobaczymy.

II. Jeśli w ostatnich czasach otworzyły się nam oczy na istotę żydostwa — a niektórym trzeba było gwałtem oczy otwierać — to w dość znacznej mierze przyczyniło się do tego powstanie prasy żargonowej.

Dawniej kryły się knowania żydowskie w mrokach kahału gdzie przecież do niedawna jeszcze istniało prawo «chazuki»; Żydzi piszący po polsku w pismach, uważanych za polskie, wystrzegali się bacznie wszystkiego, co by mogło «lud wybrany» ukazać w ujemnym świetle; milcząca zgoda panowała w tej mierze pomiędzy gronem «asymilantów» a ciżbą najzacofańszych chasydów, którzy nie przestawali nigdy widzieć w tamtych pozornych «odszczepieńcach» — opiekunów i orędowników żydostwa.

Dopiero w prasie żargonowej poczęli Żydzi pisać otwarcie o swoich dążeniach, obawach, nadziejach i wstrętach, licząc widocznie na to, że te wszystkie głosy nie wyjdą poza koła żydowskich czytelników.

Stało się jednak inaczej: od kilku lat figurują w prasie polskiej *curiosa* wyławiane skrzętnymi dłońmi ze szpalt żargonówek; trudno o cenniejszy przyczynek do dziejów «duszy żydowskiej» przechowanej w pleśni Talmudu jak futro w naftalinie.

Świeżo właśnie wyłowiono z *Najer Lodzer Morgenblat* cenny głos posła łódzkiego, d-ra Bomasza. Szczególny ten przedstawiciel polskiego miasta oznajmił się w Dumie jako członek rosyjskiej partji ka-detów. Nie przeszkodziło mu to, wbrew dyscyplinie partyjnej, głosować przeciw samorządowi polskiemu, niemile przez tutejszych Żydów widzianemu.

Skoro tylko interes żydowski wchodzi w grę— wnet znika «postępowiec», znika «kadet»: wynurza się — wieczny Żyd.

W tym też właściwym i ścisłym swoim charakterze ukazuje się poseł łódzki na szpaltach żargonówki, w swojem kółku; tamże wyjaśnia, że «partja ka-detów jest jedyną frakcją w Dumie, z którą posłowie Żydzi mogą iść ręka w rękę.» Utworzenie zaś osobnej grupy żydowskiej byłoby nonsensem. Dlaczego?

— *«Bo Żydzi straciliby wiele przywilejów, jak zasiadanie w komisjach i t. d.»*

Warto zastanowić się nad tym zdaniem, nieocenionym w swej cynicznej szczerości.

Więc posłowie Żydzi poto tylko udają kadetów i postępowców, żeby módz zasiadać w komisjach! Więc Żydzi-publicyści udają w Peterburgu «Rosjan», w Paryżu «Francuzów» żeby w przebraniu tym czuwać nad interesami swego ludu. Żydzi naukowcy również udają «filozofów» «psychologów» «socjologów» «ekonomistów» ażeby w tem przebraniu odpierać skutecznie zakusy żydożercze i czuwać nad bezpieczeństwem i rozwojem ludu wybranego. Moglibyśmy przemierzyć w ten sposób wszystkie szczeble «asymilacji» od góry do dołu i wykryć tam setki kryptożydów, przyczajonych tak samo, jak łódzki Bomasz przyczaił się w Dumie wśród kadetów — żeby módz zasiadać w komisjach i tym skuteczniej pełnić swą patrjotyczną powinność.

Pozbądźmy się więc reszty złudzeń!

Jeśli notable żydowscy z obozu «asymilacji» miotają się niekiedy gniewnie na szczerych żydowskich nacjonalistów, jeśli w *Nowej Gazecie* i *Widnokręgu* «zwalcza się» sjonizm — to dzieje się to chyba w imię tej samej taktyki, dla której dr. Bomasz zwalcza myśl utworzenia osobnej grupy żydowskiej w Dumie. A ztąd wniosek nasuwa się taki, że pomiędzy Żydem asymilantem i «postępowcem», a Żydem nacjonalistą i zachowawcą mogą być tylko róznice *taktyczne*; różnic *zasadniczych* niema żadnych.

III. Nie przebrzmiały jeszcze echa iście monarszych darów p. Orzechowicza, który złożył miljon koron na cele naukowe, oraz przedwcześnie zgasłego d-ra Alfreda Burzyńskiego, który drugi miljon przekazał galicyjskim organizacjom skautowym w celu podniesienia w narodzie naszym tężyzny ducha i ciała — gdy oto trzecia gruchnęła wieść, że zmarły magnat galicyjski, marszałek krajowy Adam hrabia Gołuchowski również po sobie zostawił zapis jakowyś niezwykły...

Niebawem nadbiegła fama, że spuścizna po zmarłym lordzie wynosi z górą 15 miljonów koron, z czego przeznaczył arystokrata polski na cele społeczne aż... 4 tysiące koron na.. bursę żydowską w Koziatynie.

Istotnie niezwykły zapis! — pomyślał sobie ten i ów ziomek w pokorze ducha, uszom własnym nie wierząc.

Jakoż niebawem pojawiło się w pismach... sprostowanie.

Hr. Gołuchowski bynajmniej nie zapisał na bursę żydowską 4 tys. koron. Zapisał jeno 10 tys. na stypendjum żydowskie (?) i to z polecenia (!) jednego ze swych arendarzy, który w dodatku na cel ten wręczył (!) powyższą sumę hrabiemu Adamowi...

Czyli, innemi słowy, hrabia Adam, chluba naszej arystokracji, prawdziwy torys galicyjski — żadnego nie poczynił zapisu, boć nie on podobno, lecz ofiarny jakiś arendarz, pomyślał o bursie żydowskiej...

Hrabia zasie Gołuchowski pomyślał zato o... splendorze swego domu i w tym też kierunku stosowne poczynił zastrzeżenia w swoim testamencie.

Prawdziwy hrabia!

Inaczej poczynał sobie lekarz lwowski, Alfred Burzyński, który zamiast siedmiopalczastej korony położył na swym testamencie proste, lapidarne słowa:

— Niech to będzie dla dobra ukochanej mojej ojczyzny.

— Dziwak! Zamiast o splendor swego rodu dbał o dobro ojczyzny! Co za... plebejskie usposobienie!

Tak-ci pomyśli sobie z niesmakiem niejeden z tych galicyjskich hrabiów, którzy w Galicji rządzili, rządzą i długo jeszcze rządzić będą, z wyłączną troską o rodowe swoje splendory.

W. RZYMOWSKI.

# Rozorany grób.

1.

Chłopskim pługiem rozorany grób Rzeczypospolitej: to — powieść historyczna Reymonta o *Roku 1794* («Ostatni Sejm Rzeczypospolitej).»

2.

Krytycy i recenzenci warszawscy zaniepokoili się mocno hazardem Reymonta: od epopei «Chłopów» jakaż wiedzie droga ku przeszłości szlacheckiej? — pytano z powątpiewaniem. Z pod strzechy Mateusza Boryny po jakichż stopniach dostać się można na parkiety pałacowe *ancien-regime*'u? Czyż nie leży przepaść między siermiężnym dzisiaj a karmazynowym wczoraj?

I, ażeby wytłomaczyć sobie zagadkę przebycia tej przepaści, dociekano w pamięci, ile setek, ile tysięcy tomów przeczytać, przetrawić, prześlęczeć musiał Reymont, ażeby się do przeszłości dokopać, ażeby przeszłość z mroku wydobyć.

Czcze domysły! Reymont przeszłości nie wypukał z szaf bibliotecznych. On — poeta — skuteczniejszy znał sposób sięgnięcia w rzeczywistość historyczną. Nie słuchał tego, co szepcą książki umarłych: on posiadł możność usłyszenia tego, co mówią sami umarli. W swej epopei słonecznej dnia dzisiejszego — w «Chłopach» — szedł pługiem pracowitym i radosnym

wzdłuż łanów wiejskich, krająć skibę za skibą, twardą dolę ludzkiego żywota.

Aż w pewnej chwili zatrzymała go myśl niepokojąca... A gdyby pług zapuścić o jedną skibę głębiej? Gdyby popod pierwszą wierzchnią warstwę ziemi sięgnąć ostrym pracowitym lemieszem aż do drugiej i trzeciej i czwartej skiby w głąb?

Reymont nie oparł się tej myśli: zarył pług w głąb uśpionej pod słońcem roli, i—wyorał przeszłośś Polski z przed lat stu dwudziestu: grób Rzeczypospolitej. Nie tylko bowiem w szafach bibljotecznych śpi przeszłość nasza: ona śpi także w ziemi. Alboż to nie urodziliśmy się na cmentarzysku?

3.

Oto łachman zetlały w prochu ziemi wilgotnej, patrzcie: to są szczątki królewskiej purpury... Ta obręcz rdzawa to — korona królewska. O, sławo! sławo! To berło poszczerbione i te pogięte blachy złote miałyżby ongi być puklerzem majestatu monarszego? A to na samym dnie gnijące, robaczywe gniazdo ohydy: toż ma być serce ostatniego króla? Serce przegniłe, ale nie pęknięte: serce dwakroć strupieszałe. Serce, które do ostatka biło, jak dzwon do ostatniego tchu wydzwaniający kołysankę miastu zadżumionych. Czymże jest owo rumowisko czerepów? Są-ż to czaszki ludzkie, czy rozbite puhary biesiadne z jakiejś pijanej orgji bogów, po której zastawę stołu zwalono w dół zapomnienia? I ta mogiła jest-że mogiłą ostatniej klęski czy ostatniego snu? Czyli we śnie tych ludzi napadnięto? Dlaczego niema między nimi żelaza, ani jednego miecza, ani jednej szabli w zaciśniętej na wieki dłoni trupa? dlaczego żadna pierś nie jest zgruchotana od kul, dlaczego wszystkie szkielety uśmiechają się tak strasznie, jakdyby uśmiech trupi przylgnął już do ich twarzy za życia? O jakiejż chwili swego życia ludzie ci pomarli? Jaką śmiercią okropną i na jaką okropną chorobę pomarły te... trupy?

4.

I pług chłopski może być sędzią. I chłopski pług może być jasnowidzem, i historykiem, i wyrokodawcą.

Odkrywa, sądzi i wyrokuje imieniem pracy, której najrzetelniejszym, prawiecznym jest narzędziem i godłem. Jakimż surowym i groźnym bywa sędzią wówczas, gdy przekreśla pobojowiska hańby, gdy żelaznym lemieszem w cmentarny worze się zagon. Jak strasznym dzwoni wyrokiem śród cmentarza, gdy w kości spróchniałe uderzy. Jakimż duszę łamiącym poszeptem wołają ku nam osuwające się popioły hetmańskie wzdłuż tarczy świecącej stalowego pługa. Zaprawdę: tu jest czyściec Polski dla dusz potępionych — tu pod żelazem pługa.

5.

Między mieczem a pługiem, między żołnierzem a oraczem, zawarta jest cała filozofja bytu i rozwoju narodów. Czy kiedykolwiek dwa te symbole pochodu dziejowego ludzkości połączą się w jakąś nową wyższego rodzaju syntezę, jak marzą apostołowie nowych wiar społecznych?—Po dzień dzisiejszy, a niezawodnie i po najbliższe jutro, gmachy narodowych przybytków rość będą wojowników krwią i potem oraczy, jak rosły krwią i potem dotychczas.

Grzechy miecza polskiego przez polski pług wyspowiadane: oto jest powieść historyczna Reymonta.

STANISŁAW BACZYŃSKI.

# Antoni Potocki.

Z CYKLU: «KRYTYCY I RECENZENCI».

## II.

### Dzisiaj.

W pogoni za ideałem doskonałej normy krytycznej zatrzymujemy się wśród chaosu słów wieloznacznych, mających określać zadania krytyki dzisiejszej, obok płaskiego ścigania nastroju, żyłowania frazesu (Feldman) najczęściej lirycznego, który nie charakteryzuje, nie daje zwartych myślowo określeń, poza grą pozycji chwilowych uniesień i skrzywionych uczuć. Poszukiwanie samooznaczeń u autora, łatwizna odnalezienia tych najbardziej chwiejnych stanowisk literackich pogrąża krytykę tz. impresjonistyczną i pseudo-objektywną w sferze ospałej *przypadkowości.* Przypadkowość skojarzeń stanowi o braku kierunkowej idei, czyli bezmyślności krytyka, który zdążając po linji najmniejszego oporu zasypuje kamienisty grunt swych literackich przeżyć nieosiągalną w granicach sumienia intellektualnego dowolnością koncepcji. Tem żyje najmłodsze pokolenie naszych krytyków. Powiada się, iż krytyk winien odnaleźć indywidualność autora przez dotarcie w głąb najistotniejszych pierwiastków jego duszy. Zdanie to jednak dotąd pozostaje frazesem.

Indywidualność, jako hasło, nie przestała wprawdzie trapić żywotnej sfery interesów gromady, w formie sztandaru pojęta, zrodziła tysiące

półgłówków, niedowarzonych ideologji i pomijając okres swego prawdziwego zrozumienia dotarła do nas w łachmanach nędzy przeżytej, w wytartym garniturze minionej tradycji.

Człowiek-artysta, lub tylko ten pierwszy, jest człowiekiem z racji warunków fizycznych i o tyle jedynie, o ile posiada cechy pokrewieństwa z otoczeniem, którego istnienie mocą podobieństw i różnic pojęciowo ograniczonych decyduje o jego typowości. To stanowi o człowieczeństwie, którego pojęcie kojarzy ogół cech *wspólnych*; różnice zaś pokrywa nazwa osobowości. Nie mówię o osobowości jednostkowej praktycznej, lecz logicznej. Praktycznie pojęta osobowość stwarza fakt różny od szeregu innych (oryginalność,) logiczna zaś sięga czysto jednostkowej różnicy istnienia. Dwoje ludzi może nie różnić się niczem od siebie, a jednak są czemś innem, istnieją jednostkowo. Poza człowiekiem, jego osobowością jednostkową, poza faktem w życiu i jego podstawą, istnieje sfera, która nie zjawia się, nie wyraża się, lecz objawia, niedostępna dla porównań i analogji pojęciowych; istnieje barwa naszych właśnie, a nie innych przeżyć, wybiegająca z faktu dokonanego, linja, która dąży w nieskończoność wnętrza duszy jednostki i nadaje jej przeżyciom „wartość“ immanentną, nie różną, ani podobną, lecz tą nie inną. W braku zrozumialszego terminu nazwę ją indywidualnością jednostki. O nią właśnie krytykowi iść powinno, nie o założenia stałe, modulacjami falujące pole przeobrażeń scenicznego układu, który zwiemy osobowością. Indywidualność *objawia się*, mimo dowolnych skojarzeń z zewnętrznością, po raz pierwszy i ostatni, jest śladem życia jednostki w świecie. Krytyka nasza, operująca do wstrętu hasłem szukania indywidualności w znaczeniu „des ewig Weibliche“ zmieszała założenia, tkwi w *osobowości*, w człowieku wogóle. Indywidualność nie będąca faktem jest terenem pozbawionym odczucia, którego nie dociera się z trwogi przed węzłem wiodących ku niemu trudnych i splątanych dróg. Kłaść człowieka, od wieku znanego w fakcie zewnętrznym, do retort analizy jest rzeczą dogmatyków, metafizyków wiar społecznych, nigdy krytyka, który zeń dobyć musi światła nowego, objawienia indywidualności bodaj częściowej.

Zjawiskiem stałym krytycznej działalności Potockiego w stosunku do pisarzy dzisiejszych jest ów kult osobowości, pogranicza duszy, zazdrośnie zawartej przed okiem chwiejnego badacza, a światem zjaw i wizji formalnych. A. Potocki zapomina, że chcąc odcyfrować indywidualność twórcy trzeba ją czytać, jak psychologiczny apokryf, jak ewangielję (bez dewocji i nabożeństwa!), *dochodzić* myśli ją odsłaniających. Nie poznajemy wskutek tego olbrzymiej wielkości naszych pisarzy i artystów, pomijamy ich najgłębsze dobro, ich życie wieczne, mimo iż nieraz zapomniane.

Indywidualność jest nieskończonością jednostki, pierwiastkiem niezniszczalnym w wszechświecie, a oznaczyć ją zdoła jedynie śmiała myśl krytyczna, nie licząca się z potrzebami kategorji tradycyjnych. Jako termin wyśmiana została, przez sezonowych półgłówków, obok innych, dziś pomijanych zdobyczy w kulturze lat niedawnych, za co należy się pognębienie modnym miłośnikom umysłowych nowości.

A. Potocki daje wyraz obłędnego szafowania tymi kategorjami. Szuka rzeczy najbardziej nieokreślonej, nieistniejącej: „człowieczeństwa“ tam, gdzie jedyne miejsce indywidualności przynależy. Czyni to z Wyspiańskim, Przybyszewskim, a szczególnie z Żeromskim, dla którego nie zdołał odnaleść struny myślowo prężnej, unikając analizy drogą insynuacji formuł i pierwiastków nastrojowych. Koniecznym skutkiem takiej krytyki jest jej *banalność*, której znów motywem zasadniczym jest budowanie ścieżki do stada. Umysłowość banalna pomija zakątek misterjum przewalających się chwil duszy tej, a nie innej, rozwija jej predyspozycje najpowszechniejsze do ogromu glinianego posągu.

Dlatego twórczość poszczególnych pisarzy jest dla Potockiego sprawą *terenu*, *położenia*, rzeczą przestrzenną dającą się uogólnić, rozpostrzeć na miljony ludzi. Całość działalności danego autora jest dla Potockiego dokumentem *pokolenia*, Reymonta nazywa aojdem, we wszystkim widzi tło, gubi wreszcie po drodze istotny na nim punkt: *barwę duszy* autora z odpoznanych przeżyć dobytą.

Pozatem rzecz drugorzędną stanowi dla krytyka badanie ideologji autora, pierwszorzędną *idea* wyrażona faktem powstania dzieła, nasuwająca myśl o charakterze źródła.

Pisarz nie jest wyrazem prądów, on je *stwarza*, a założenie np. powieści wypływa z poza sita intellektu, niedostępnym, bowiem, dla twórcy jest świadome uchwycenie współczesności i jej ideologji. Jest to funkcja następcza.

Jasno rysuje się stosunek Potockiego do związku artysty z potrzebą wyrażania świata w określaniu np. realizmu i jego podstaw. P. twierdząc, że potrzeba prawdy jest twórczynią realizmu, wybiega poza nakreślone, możliwe używanie komunałów. Prawda w utworze niczym się nie zaznacza, chociażby była najfantastyczniejsza, nie jest właściwie warunkiem treści, lecz metody, koniecznej logiki zmysłów artysty. Naturalizm nie powstał wskutek żądzy zbliżenia się do rzeczywistości, a z przewagi konstrukcji logicznej, (wyczutej) nad rwącą uczuciowością. Dlatego jednym z głównych jego przejawów np.

u Balzaka jest przymus ciągłości, z której wywija się konieczna dokładność opisów. To samo u Zoli, nawet u Dostojewskiego. Realizm jest wymagalnikiem budowy duszy twórczej i do niej wyłącznie się sprowadza. Naśladownictwo formy nie zobowiązuje krytyka do ogólnych twierdzeń, w rodzaju „przemiany i fermenty są wyrazicielami tych lat...“ i t. d.

Nadużywanie negacji powoduje niejasność przesłanek pozytywnie mało ważnych, ogólników w odniesieniu do złudnego przeciwstawienia. Nie dziw przeto, iż dochodząc do takich założeń i wniosków Potocki ugrzązł w wieczyście negatywnych operacjach słownych.

Metodyczna negacja w krytyce nie tylko że nie jest obowiązkiem, lecz wprost błędem, pozoruje bowiem brak określeń podobnie, jak analogje, których nadmiar sprowadza na bezdroża sumienie intellektu pisarskiego.

Potocki wyłamał się poczęści z dawniejszej maniery postępowego paraliżu krytyki subjektywnej, która tryumfowała bezmyślnością. Rozszerzywszy widnokrąg materjału, usiłował spoić go w organiczną całość przesadnej ciągłości, bez metody. To też brak kierunku, idei, zastępuje dorywczością bezapelacyjnych, ogólnikowych sprawdzianów, kamiennych w fakturze, niezdecydowanych pod względem wymagalników rzeczywistości bodaj twórczej danego pisarza. Ta rzeczywistość istnieje dla Potockiego w granicach drugorzędnych nałogów czy wpływów, nigdy pod warstwą społecznego pyłu, skorupą ludzkości, ideologji. W ten sposób obrawszy drogę głębszą, szeroką, nie posunął się istotnie w wartościach krytycznych przemyśleń; sprawdziany pozostały dawne, rozleglejszy horyzont wymógł większą *treściwość* i pobieżność. Stosunek Potockiego do literatury nie przestał odznaczać się platoniczną zmysłowością (przeciwieństwo z musu), pochwytywaniem okruchów emanacji twórczości polskiej. Najjaskrawiej uwidocznia te rzeczy praktyka, nigdy obrona stanowiska w zakończeniu.

Stanowisko myślowe wchodzi do krwi przez swą żywotność, krytyka zaś, niezdolna do czynu, przestaje być krytyką. Każdemu wolno mieć metody i kierunki badania, lecz nie wolno ich narzucać samorodnym indywidualnościom twórczym i poprostu je zamalowywać. Żywotność krytyki leży w pozytywnej tolerancji, w myśli, płynącej mimo zaprzeczeń, która *nie sądzi wyłącznie*, lecz rozważa, nie podziwia, kocha natomiast szlachetnością męża.

Ostatnie słowa odpowiadają w zupełności nastrojowi uczuć Potockiego. Kocha on literaturę, jej bujne piękno, w książkach jego tkwią ślady tej miłości, — ale też tylko na niej opiera swą żądzę sądu. Miłość wypartą na stanowisko naczelne, pozbawioną cech analitycznej sprężystości, pozwolę sobie nazwać *miłośnictwem*. A. Potocki jest *miłośnikiem* literatury, nie jej znawcą krytycznym i historykiem. W szlachetności miłosnego porywu prac jego drzemie niewydobyty skarb *zrozumienia*, przedstawia pole skalą *zainteresowań* rozległe, ubogie jednak w zagadnienia i krytyczną tolerancję, jak rola pozbawiona najpotrzebniejszych ożywczych pierwiastków.

Cała „Literatura współczesna“ jest pisana, jakby w oczekiwaniu cudu myśli, w szlachetnym napięciu przeczuć i prawie, że możnaby wyznaczyć w jej ciągach słupy cierpień, załamań i zmagań autora.

Tego rodzaju uczuciowość literacka, ogarniający pęd syntetyczny bez punktu skupienia wywoływa w pracy, historycznej poniekąd, zwał fragmentów, niewypełniający należycie luki potrzeb i wymagań.

Synteza nie przestaje być zagadnieniem trudnym i często paczonym w dziedzinie krytyki literackiej, wskutek łatwości zejścia na tor dedukcyjnego auto-oszustwa, które panosząc się przynosi w danajskim darze, więzienną atmosferę komunałów i szablonów filozoficznych. Stąd u Potockiego, mimo nastrojowej, pięknej miłości do literatury spotykamy poniżające ją *obcinanie* pisarzy, którzy w danym razie nie harmonizowali z chwilowym nastrojem krytyka. To ostatnie wskazuje na skłonności doktrynerskie, zaćmiewa bezpośredniość *sądów*. Wiele rzeczy w krytyce zależy od wrażliwej, podatnej uczuciowości, w odniesieniu jednak do wymagań artystycznych sprawdzian nastrojowego wysiłku okazuje się zawodnym, właściwie bezowocnym.

Potocki miłując literaturę, nie zdołał przecież nawiązać porozumienia z własnym umysłem, który wiele przeczuwa, zaś mało wydaje. Umysł to nawskroś nerwowy, przeczulony w obieraniu kochanki, niestały w objawach miłości, jak histeryczny amant współczesnej doby. Odnalezienie przypadkowej syntezy decyduje w nim o całości poglądów. Dogmatyzm tradycyjnych uprzedzeń nie przeobraził linji wartości sprawdzianów w pracach Potockiego, od studjum o „Konopnickiej“ do dwóch tomów „Literatury“.

**Sz. abonentów prosimy o uiszczenie należności za kwartał drugi.**

J. PAPINI.

# Prędzej!

Z CYKLU: «TRAGEDJE CODZIENNE».

Prędzej, prędzej! Gdzież jest dyrektor orkiestry świata? Wołajcie go — sam tu niech stawi się natychmiast. Uwielokrotnić rytmy, przyśpieszyć tempa! Szybciej, chyżej! Coraz szybciej, coraz chyżej! Naprzód, w imię Boga! Nie czujecie, jak powoli i ciężko wlecze się ten leniwy świat? Jak żebrak zmożony paraliżem, jak ślepy kaleka, jak zgrzybiały starzec! Naprzód więc, — dalej! Wleczcie go siłą, przynaglajcie do biegu, popychajcie go przemocą, szarpcie naprzód jak psa na obroży. Jakże wy możecie iśc takim krokiem pogrzebowych orszaków? Jak możecie oddychać tym ledwo tlejącym oddechem płuc słabowitych? Jak możecie mówić tymi sennymi usty księdza, klepiącego modlitwę? Jak potraficie żyć w tej ciągłej atmosferze drzemki?

Raz zbudźcie się, nareszcie! Wspomnijcie, że macie żyć, ospalcy! Niechaj wasz chód zmieni się w radosne skoki, a skok każdy niech będzie lotem; a słowo wasze niech stanie się krzykiem; oddech niech się stanie wichrem, a życie wasze niech będzie gorączką, a gorączka — burzą szaleństwa.

Naprzód więc, leniwy świecie, opieszały, ciężki, znużony, omdlewający. Naprzód bez odpoczynku. Prędzej — jeszcze prędzej, coraz szybciej, coraz zawrotniej, coraz...

Ale gdzież jest dyrektor orkestry świata? Otóż się stawił. Witaj! Słuchaj mnie i pełń me rozkazy natychmiast. Chcę, aby powolny taniec świata zmienił się w szaloną sarabandę. Precz z tą cukrzoną słodyczą menueta! Czas ubiega, grzebie nas nuda, znużenie i sen. Dość tych ukłonów, przystawań, odpoczynków. Płomienny taniec bez prawideł i szranków — dziki tan umierających szaleńców chcę widzieć dzisiejszego wieczoru.

Jak możecie, ludzie, żyć tak powoli? Czy nie czujecie, jak wszystko porusza się wolno — jak każda rzecz nadchodzi i mija z nieznośnym spokojem — jak cały ten świat przypomina zgrzybiałą maszynę dogorywającą ostatnimi obrotami kół? Czy nie spostrzegacie, że my wszyscy przypominamy śpiących, uśpionych, rozespanych?

Jakiż to głupiec mówi o pogoni czasu? Alboż nie wiecie, ile trzeba godzin długich czekać, nim nadejdzie noc i wiele godzin długich, nim powróci dzień, i wiele długich dni, aby się spełnił rok; ile wreszcie strasznie długich lat, aby zakwitła młodość i strasznie długich lat, aby nas uwolniła śmierć?

Cokolwiek uczynić musimy, trzeba czekać — aby rzecz jakakolwiek powstała lub znikła, musimy czekać. To co zrobić możnaby w godzinę, robić musimy cały dzień; czego użyć możnaby w ciągu dnia, używamy godzina po godzinie, w ciągu roku. Wszystko jest odmierzone, obrachowane, przewidziane. Zdarzenia świata nadchodzą i mijają prawidłowo, w jednakowych odstępach, w jednakowych okresach, i nic przyśpieszyć ich nie zdoła. Trzeba, aby wszystko spadało kroplami powolnych dni. Czym jest życie — prawdziwe głębokie natężone życie — jeśli nie skąpą czeredą iskier w gromadzie popiołu? rzadkim naszyjnikiem pereł, nanizanych na długą, posępną, szarą nić? Nie możemy więc całego życia naszego przeżyć w jednym dniu. Nie możemy zebrać wszystkich iskier w jedno, aby wytworzyć płomień na przeciąg godziny — nie możemy zsunąć wszystkich pereł, aby się splotły w krótki węzeł rozkoszy.

Trzeba, ażeby wszystko pełniło się powoli, powoli, powoli, — zabiegliwie, przezornie, ostrożnie. Wszystko przypadać musi o swej godzinie — woda toczyć się musi rzeką, nie zaś spadać siklawą; wiatr pieścić musi blade oblicza ludzkie, nie zaś porywać i walić je skrzydłami huraganu; życie wszelkie być musi roztropnym rostem, nie zaś błaskawicowym pędem buntu przeciwko ziemi.

Ale ja nie chcę, ażeby tak było!

Gorączka strawi mnie swym ogniem, jeśli nadal trwać będzie ten sam powolny ruch świata. Czemu nikt nie zdaje się cierpieć tak, jak ja, na tym letargicznym świecie? Czuję się mocny, pełen pragnień, pełen rozpędu, szybki, niecierpliwy, — a wszyscy towarzysze moi nie domyślają się niczego, i zasypiają i zastygają w śmierć, łudząc się, że jeszcze żyją. Czyliż nie wiecie, że jedna godzina radości, nieznającej granic, jedno mgnienie ekstazy i porywu warte są więcej, niż wszystkie wasze stuletnie życia, niż wszystkie wasze spokojne wegetacje posłusznych cherlaków? Jeden dzień życia za te wszystkie lata! Całe życie moje w jednym dniu! Dziecko o poranku, kochanek o południu, poeta o zachodzie, mędrzec o zmroku. Wszystkie radości, którymi chcesz mnie obdarzyć, o Boże, któryś jest w niebiesiech, daj mi razem w jednej godzinie. Niechaj pory po sobie idą z godziny na godzinę — niech co chwila wschodzi i zachodzi słońce — niech każde uderzenie mego serca przynosi nową uciechę!

Ja czekać nie chcę! Nie chcę w ten sposób zasypiać! Prędzej, — jeszcze prędzej! Gdzież więc jest dyrektor orkestry świata? Skrył się znowu? Idźcie za nim, przywiedźcie go tutaj. Niech stanie zaraz przedemną. Jeśli go nie znajdziecie, przyprowadźcie mi jeźdźca, myśliwca, barbarzyńcę — człowieka, któryby znał się na wartości biegu.

Hej! na koń, na koń! ostrogami pędzcie rumaki, przynaglajcie je krzykiem, krwawcie im ostrogą boki bez litości! Naprzód, naprzód, coraz chyżej! Niech życie stanie się pościgiem bez nadziei, impetem zapalczywości, furją bezgraniczną, atakiem bezrozsądnym, ale czymś co rwie się naprzód, co nie wlecze się ani stoi w miejscu.

Ludu letargników, tłumie znudzonych ospalców, oto wiatr nadbiega i huczy, jak olbrzymi róg półboga. I we śnie śmierć przychodzi także — baczcie-ż więc, aby przyszła rychlej, ale niech zastanie was czuwających i rozigranych jak orszak bakchantów.

Hej-że! naprzód, — coraz chyżej! Niech szaleje czas, niech pędzą rumaki, niech cwałują serca! Prędzej, jeszcze prędzej, coraz prędzej! Oto śmierć. Niech żyje śmierć!

D-r Z. DASZYŃSKA-GOLIŃSKA.

# Współczesna ewolucja ludności.

II.

Czy pożądany jest już obecnie zastój przyrostu ludności i w jakim żyjemy stadjum jej rozwoju?

Na te pytania znaleźć można odpowiedź w niedawno wydanym dziele znanego ekonomisty Pawła Leroy Beaulieu [1]). Warto zapoznać się bliżej z tą książką, która daje nietylko ogromny materjał porównawczy, ale i syntezę tych teorji, które, zastępując teorję Maltusa, jego kontynuatorów i prozelitów, wprowadziły zagadnienie przyrostu ludności na nowe tory. L. B. jest jednym z głównych twórców nowego prądu myśli, a poglądy wypowiadane od lat piętnastu w „Traktacie teoretycznym i praktycznym ekonomji politycznej" i w kilku poświęconych specjalnie temu zagadnieniu rozprawach, pogłębił i uogólnił. Teorja obecna nie wyczerpuje wprawdzie zagadnienia, nie ustala praw, odnoszących się do wszystkich czasów i wieków, ale postawić należałoby pytanie, czy taka teorja da się pomyśleć, czy raczej każdy ustrój społeczno-ekonomiczny ma swoje prawa rozwoju ludności?

Książka L.-B. jest bezwątpienia najgłębiej i najwszechstronniej pomyślanym traktatem wśród powodzi dzieł, które w ostatnich latach dwudziestu poświęcono temu zagadnieniu. Znaczenie jej dla niefrancuza obniżać może jedynie to, że autor miał głównie na myśli wyludnienie Francji. Poszukiwaniu środków zaradczych poświęca on prawie dwie piąte swej pracy (ks. V). Tu z teoretyka przeobraża się w moralistę i polityka społecznego, przystosowuje swoje rady specjalnie do Francji, a zatym budzi mniejsze zainteresowanie ogólne. Ale i Maltus był politykiem społecznym i na ustawodawstwo swego kraju oraz na opinję publiczną wywarł nie mniejszy wpływ, niż na teorję nauki o ludności. L.-B. opiera się naturalnie na materjale dużo pewniejszym, jakiego Maltus mieć nie mógł, bo na olbrzymich współczesnych źródłach statystycznych, stąd i wnioski jego więcej przedstawiają wartości. Poza tym książka L.-B. stanowi dowód, że tylko wyszkolony ekonomista zajmować się powinien teorją ludności, bo zagadnienie je przyrostu nie stoi odosobnione, ale przeobraża się łącznie z całym typem gospodarczego życia i dostosowuje się do stosunków społecznych i ogólnego charakteru cywilizacji.

[1]) La question de la population. Felix Alcan, 1913 r., 512.

Z nagromadzonego przez francuskiego uczonego materjału wybieram tylko te zagadnienia, które dadzą obraz współczesnego stanu przyrostu ludności.

W obecnym stadjum zaludnienia nie może być mowy o bliskim zapełnieniu kuli ziemskiej. Obie Ameryki mają ludność rzadką, Ameryka środkowa i południowa rozwijać się nie może z braku zaludnienia. To samo powiedzieć można o Syberji, Azji środkowej, a nawet o Rosji, oraz wyspach dawnej Oceanji (Australja i wyspy przyległe). Obok tych małoludnych przestrzeni, których olbrzymia część zdatna jest do uprawy i do zamieszkania, silne nagromadzenie ludności w przemysłowych centrach Europy, takich jak Belgja, Saksonja, Anglja, tudzież Chiny czy Indje stanowią skupiny, które miałyby w razie potrzeby aż nadto przestrzeni do rozproszenia. Prawdopodobna cyfra ludności obecnej wynosi 1 miljard 650—700 miljonów, co daje przeciętną zaludnienia koło 12 na kilometr, a sama Europa ze swoją przeciętną (39 mieszkańców na 1 km.?) i Azja (20.4 m. na 1 km.?) objęły przeszło 77.3% ogółu przedstawicieli rodu ludzkiego, t. zn. koło 1250 miljonów.

Wprawdzie zachód Europy już dziś nie jest w stanie wyżywić swej ludności z własnych produktów rolnych. Kraje pozaeuropejskie dostarczają przecież zboża i mięsa w takim nadmiarze, że doprowadza to do stałej obniżki cen. Levasseur, obliczając ceny zboża w różnych krajach od 1771 r. dochodzi do wniosku, że w ostatnim pięćdziesięcioleciu spadły one do połowy, a mianowicie gdy cena hektolitra zboża wynosiła 22 franki 50 cent. w 1850/59 latach, to w 1900/7 tylko 11 frank. 85 cent. Następstwem tej zniżki jest trwanie pierwotnych metod uprawy zboża w gospodarstwie rolnym Europy, oraz odłogiem leżące obszary po za nią.

L.-B. oblicza obszary zdolne do uprawy i zamieszkania na sto miljonów km. Liczyć tylko po 50 mieszkańców na kilometr dałoby to cyfrę 5 miljardów, które wygodnie pomieścić może kula ziemska, nawet nie nawodniając pustyń i nie osuszając moczarów. Od tej cyfry jesteśmy bardzo daleko, a dałaby nam ona dopiero *optimum* wytwórczości i bogactwa na jakie zdobyć się powinien rodzaj homo sapiens, a jeszcze nie *maximum*.

Zaludnianie ziem nowych pozostawione być musi emigracji, płynącej z centrów wysokiego zaludnienia. Bierzemy tu przeważnie pod uwagę emigrację europejską, jej kolonizację i dalsze rozradzanie, z czego wynika rozszerzanie sfery europejskich wpływów, terytorjów językowych i rynków zbytu dla europejskich towarów. Z obniżeniem stopy urodzeń liczba emigrantów musi się obniżyć, jakkolwiek daleką jest dziś jeszcze

od owej najwyższej cyfry, która znaleźćby mogła poza Europą bezpośrednie zużytkowanie dla swoich sił i uzdolnień, oraz możność obfitego wyżywienia. To maximum oblicza nasz autor na 4—5 miljonów rocznie, gdy pozaeuropejska emigracja wynosi dziś zaledwie 2—3 miljonów, a zatym połowę.

Obok Europy materjału do emigracji dostarcza Azja. Stosunek ludów Europy i Azji, które, od XVI wieku poczynając, rozwijały się niezależnie od siebie, zmienił się w ostatnich latach 60-iu. L.-B. porównywa je do płynów w naczyniach komunikujących się: poziom jednych oddziaływa na obniżkę lub podwyżkę drugich, a im mniej emigrantów wysyłać będzie Europa, tym więcej wyjść ich musi z Azji.

Ludy azjatyckie z wyjątkiem zachodu, gdzie islamizm i samowładztwo powstrzymuje rozrost, rozradzają się bardzo silnie. Chiny wraz z Mongolją i Mandżurją mają ludność koło 433 miljonów,[1]) a zatym pomimo kolosalnych pustyni 40 mieszkańców na km. Zaś we właściwej republice Chińskiej spis ludności przeprowadzony w 1911 r. wykazał cyfrę 62$^1/_2$ miljonów rodzin. Przyjmując równą liczbę osób na rodzinę, obliczenia dają tu zaludnienie 72—102 mieszkańców na km. I tu ludność bardzo nierównomiernie jest rozłożona. Gdy najobszerniejsze prowincje niebieskiego państwa (Kwang-si, Kansu, Yunnau) liczą od 26—32 mieszkańców na 1 km., to inne (Shantung, Honan, Fukien, Hupey) dochodzą do zaludnienia, przewyższającego belgijskie t. j. do 263—189 nieszkańców na km.

Ludność Indji angielskich doszła w 1911 r. do 244 miljonów, co stanowi 83 mieszkańców na 1. km. I tu znów rozsiedlenie jest różne: prowincja Ondh dochodzi do 206 m. na kilometr, prow. Bengalu do 176 i t. d. Emigracji niema dotąd prawie zadnej, ale perjodycznie powtarzające się głody świadczą o przeludnieniu i konieczności tej emigracji.

Wreszcie trzecie z państw azjatyckich, którego ludność jest perjodycznie obliczana, Japonja rozsiadła się na terytorjum o trzecią część obszerniejszym od Wielkiej Brytanji. Ludność Japonji wzrosła z 48 miljonów w 1906 r. na 51$^1/_2$ w 1911 r., zaludnienie jej wyrównywa Niemcom (120 m. na 1 km.). Stopa urodzeń w Japonji nie jest nadmierną (31.6 na 1000 m. aż do wojny rosyjskiej), ale stale się podnosi. Zwycięstwo podniosło tu nietylko zaufanie w siły państwa i narodu jako całości, ale i chęć rodzin do życia i rozmnażania się[2]). Śmiertelność w Japonji zbliża się do europejskiej w XX stuleciu, a przyrost wynosi koło 600 tys. rocznie.

Koniecznym następstwem rozradzania się ludności Chin i Japonji musi być emigracja. Emigracja z Chin, z powodu zakazów istniejących wobec Chińczyków w Stanach Zj. Am. Pół., nie da się obliczyć. Japończycy zasiedlają Koreę, Mandżurję, miasta syberyjskie nad oceanem Spokojnym, po za Azją, głównie do Ameryki, wychodzi rocznie 30—40 tysięcy.

L.-B. oblicza, że gdyby sama Europa zapełniać miała mało zaludnione terytorja innych części świata, zużyłaby na to 4 stulecia, jeżeli zaś, zamiast powiększać rozrost swej ludności, osłabi go, nie wykona swej misji, przekazując ją Azji. Stwierdza też, że emigracja angielska nie słabnie, niemiecka w najbliższych latach prawdopodobnie się podniesie, Włochy zaś, Hiszpanja i Austro-Węgry [1]) przez szereg lat jeszcze emigrację swoją podtrzymywać będą mogły.

Jeżeli jednakże stopa urodzeń w dalszym ciągu w Europie obniżać się będzie, zmniejszy się także emigracja Europejczyków do innych części świata. Zasiedlenie nowych terytorjów przypadnie Azjatom. Cyfra ludności zamieszkującej Azję (w 1908 r.—851 miljonów), jakkolwiek olbrzymia, nie byłaby jeszcze tak groźną, gdyby nie istnienie owych wspomnianych wyżej skupin które muszą wywołać dążność do wychodźtwa. Można ją tym bardziej przepowiadać, że ludność ta w Chinach i Indjach czerpie środki utrzymania przeważnie z własnego rolnictwa. Przed Europą stanąć tedy może za parę dziesiątków lat poważna troska o zmniejszenie, a może nawet i utratę wpływów w innych częściach świata. Za osadnikami pójdą towary azjatyckie, w tym szybszym tempie, im bardziej Azja będzie się europeizowała.

HELION.

## Skry.

O współczesnych poetach w Polsce (i poetkach) chciałoby się rzec: ich wiersze są pleśnią ich mózgu.

***

Przez długi czas utrzymywało się przekonanie, że kobieta jest wstydliwa.

---

[1]) Europa, według obliczeń Levasseur'a (Bulletin, t. XVIII), liczyła w 1908 r. 437 miljonów ludności.

[2]) Stopa urodzeń podnosi się do 33.6‰ ludności w latach ostatnich.

[1]) W 1909 r. wyemigrowało osób w tysiącach: z Anglji 185, ze Szkocji 53, z Irlandji 44, z Włoch 406, z Hiszpanji 138, z Austrji 144, z Węgier 131, z Rosji 87 i t. d. Zwracam uwagę, że jest to tylko emigracja stała zaoceanowa za 1 rok.

MIECZYSŁAW LIMANOWSKI.

# Z teatru dla Teatru.

Lucjan Rydel, „Złote Więzy", część środkowa trylogji „Zygmunt August"; dramat w 5-iu aktach. Czy nie za szumny tytuł?

Jest już tak na świecie, że najgłębsze ruchy, zachodzące w duszach ludzkich, muszą pozostać dla przeciętnego oka niezrozumiałe: w oczach ogółu prostują się głębie jako Tajemnice: widomym zaś znakiem takich Tajemnic jest zawsze interpretacja czyli wykładnik konjunktur poprzez dramatyzację, której utajonem skupieniem jest zawsze mit. Tak jest też z Barbarą i Zygmuntem Augustem.

Jakaś ogromna miłość, niezrozumiały potem przedwczesny zgon królowej, rozpacz bezgraniczna tego, który pozostał... oto na czem mit wzrósł; w Bonie zaczął ten mit znajdywać węża Nadasz, alfę i omegę katastrofy.

Zmieniły się czasy. Duch narodu pogłębił się; legenda o otruciu przez Bonę pokazała rysy i szczeliny. W miarę jak listy i dokumenty zaczęły wschodzić pod okiem badaczy, dostrzeżono w owej wielkiej miłości, która wstała na tle szumiących drzew parku nad Wilejką, konstelację podwójnych gwiazd o głęboko uzależnionych prawach. Szajnocha ze swoim głębokim wzrokiem pierwszy ujawnił konieczność i niezłomność wewnętrznego konfliktu; namalował co zobaczył mglisto, nie bez pewnych sprzeczności ze sobą i materjałem faktycznym: na Szajnosze zemściła się polemika z Balińskim, ukryta między linjami.

Problem nie wyszedł z mgły do Poezji... cud nie został dotąd uczyniony... nie wskrzeszono prawdziwego echa schadzek nad Wilejką lub w Dubinkach. Nie zostało dotąd ujawnione to, co wiodło młodego króla Zygmunta Augusta po przez wszystkie opory narodu do koronacji Barbary. Dramat tworzyć się może tylko od wewnątrz: w poecie wizja rozbłyska piorunem i rozgałęzia się na wszystkie strony jak drzewo Jessego; ten sam sok tworzy pień i kwiaty: najsubtelniejszą emanację życia. W problemie, tyczącym się Zygm. Augusta i Barbary, polem widzenia skoncentrowanej wizji może być tylko stosunek obu dusz kochanków, którzy przylgnęli do siebie, aby urodzić jakieś wielkie dzieło: odpowiedzią przez zewnętrzną akcję będzie zdramatyzowanie ruchów Barbary, która tak pożądliwie korony pragnęła dla siebie, oraz ruchów Zygm. Augusta, znajdującego w tęsknocie Barbary wszystkie swoje siły. Sprężyną ruchu nie mogły być tylko piękne oczy czy usta Radziwiłłówny — to jest jasne; człowiek, który stworzył Unję Lubelską, który każdem słowem dominował w historji swego czasu jako *charakter*, nie mógł wieść do tronu swojej Barbary inaczej, jak tylko dlatego, że to było rezultatem wewnętrznej głębokiej i istotnej, wzajemnie rozumianej Tajemnicy. Naród sformułował tę Tajemnicę wyrazem Miłość i naród nie pomylił się w swej zbiorowej twórczości. Nikt nie uwierzy, aby Barbara szła do tronu dla osobistych pragnień lub pragnień swej rodziny: jest to nonsens, który jedynie ludzie moralnie niedojrzali mogli z uporem powtarzać. Kto stanął na progu wewnętrznych duchowych zagadnień (te są zawsze fatalistyczne!), rozumie odrazu, że Barbara, idąca drogą ukrzyżowania wewnętrznego, daleko szersze plany w pragnieniach miała, niż plany osobiste.

Co było zatem między Zygmuntem a Barbarą? Jak wygląda owa Tajemnica wewnętrznych konieczności i niezłomności? Dlaczego pogrąża się dziś czytelnik Szajnochy w noc bez wyjścia? Dlaczego dobywa się nagle z powrotem na światło dzienne i słoneczne?

Sztuka Rydla nie jest odpowiedzią na wielkie pytania... przechodzi ona mimo tych pytań i jest, aby się tak wyrazić, zbłądzeniem duszy polskiej do jakichś drobiazgowo małostkowych naturalizmów mieszczańskich.

Czego Rydel nie zauważył, to tego, że z jego sztuki (szkicowanej tylko!) umysł konsekwentnie twórczy budować potrafi naprawdę dramat: ale dramat przedstawiający w *nagości* to, przed czem autor broniłby się rękami i nogami, a co byłoby *przecież tylko dociągnięciem* całości do owego charakteru definitywnego, który posiada Sztuka, gdziekolwiek się ujawnia, a którego to charakteru definitywnego są właśnie pozbawione „Złote Więzy".

Barbara, według Rydla, umiera z otrucia przez zioła, sprowadzone przeciw bezpłodności. Tajnie konsumowane medykamenty (bez wiedzy męża) są ową tajemnicą, że zapada na zdrowiu. Koszucki, w akcie IV, ujawnić chce Zygm. Augustowi tajemnicę; pragnie dostać w ręce medykamenty zabójcze. Co za hańba: król kochający i kochany oszukiwany przez Barbarę; co za obniżenie pojęcia Tajemnicy wprowadzeniem eksponaty mikstur i filtrów! Pod koniec aktu III Bona z ironją wypomina Barbarze bezpłodność! Zatem Zygm. August jest ślepy i głuchy (co za bohater dramatu!) jeśli nie rozumie słów Bony, które są nad miarę wyraziste, i jeśli nie rozumie tego, co już Koszucki i Bona rozumieją!

Dramatycznie to, co jest złożone w końcowych aktach, jako motyw zasadniczy katastrofy, ujawniać się przecież musi na początku: musi to być złożone choćby w ukrytej formie w I akcie. Kule bowiem, które się wrzuca w ekspozycję, muszą być zawsze z pełnym bilansem wyjmowane przy końcu: to są prawa dramatu. Barbara nie może nie wiedzieć o swojej bezpłodności na początku sztuki! *Rydel nie spostrzegł* (czy to nie jest humorystyczne!), *że dramatycznie* w I akcie *Barbara gra komedję...* jest to owa fanfaronada nieznośnych słów o klasztorze, fanfaronada, po za którą kryje się Tajemnica wdowy po Gasztołdzie. Bezpłodność Barbary musi się ujawniać na początku sztuki, nie może w środku jak Deus ex machina wstać ze ślepych i bezprzyczynowo ujętych motywów. Barbara wiedziała o swojem kalectwie i kryła się z tem; zdawała sobie sprawę, że nie może zostać królową, gdyż nie zostawi królowi polskiemu następcy! To jest dopiero logiczne i to rzuca dopiero światło na Barbarę Rydla, która w I akcie rozpacza, płacze, krzyczy, zaklina się... wszystko robi, tylko nie ujawnia drgnięć głębokich, które są wyrazem wielkiej, naprawdę bezgranicznej miłości.

Cały ten *naturalizm* Rydlowski o bezpłodności Barbary jest, ośmielam się podkreślić: błąkaniem się duszy polskiej na manowcach bez

wyjścia. Czyż nie lepiej było być mniej oryginalnym i przyjąć motyw o otruciu przez Bonę, mit dawny, który miał, doprawdy, stokroć więcej godności, niż te wszystkie seksualne wymysły, dokoła których Rydel obraca swoją sztukę? Mit stary nie szkalował bowiem Barbary, podczas gdy Tajemnica, podana przez Rydla, wnosi *kłamstwo* zasadnicze w życie pary królewskiej... inaczej, dowodzi, że między nimi *miłości nie było.* Jeżeli Barbara była naprawdę bezpłodną, to czegóż miała się z tem kryć przed Zygmuntem, który ją kochał? Jeżeli go kochała, to kryć się przed nim nie mogła, gdyż to jest przeciwne wszelkiej miłości. Tak czy owak wschodzi bezsens dramatyczny. W „Złotych Więzach“ tajenie się początkowe Barbary występuje dopiero uświadomienie dla autora i widza w akcie III i IV, aby w V-ym — być przez śmierć okupionem; śmierć bowiem Barbary należy uważać jako ekspiację za winy, karę za oszukiwanie, definitywnem przyznaniem się do grzechu, spowiedzią, i co za tem następuje, właściwym akordem dramatycznego sklarowania.

Niech nikt nie sądzi (zatem i p. Rydel), że, pisząc te słowa, zamierzałem czynić jakikolwiek grotesk. Chodziło mi tylko o to, aby wyrazić to, co weszło we mnie samym na podstawie sztuki w teatrze... i pokazać konsekwencje, do których jest zmuszony każden widz, który posiada choćby za trzy grosze myślenia. Dyrekcja Teatru Rozmaitości uznała „Złote Więzy“ za dzieło Sztuki... wystawiła je. „Wypróbowane piękno“, powiedział kierownik literacki, p. Grzymała-Siedlecki, przy otwarciu odnowionego Teatru... program na przyszłość. Mam zatem prawo do „wypróbowanego piękna“ stosować owe kryterja, które przykładamy do „Hamleta“ lub „Nieboskiej komedji“ i ujawniać w „Złotych Więzach“ rusztowania wewnętrzne, które są szkieletem każdego prawdziwego dramatu.

*Podświadomie* (z punktu sztuki) Barbara oszukuje Zygm. Augusta już w I akcie. Owa brutalna scena w ogrodzie (pachołkowie Radziwiłłów) nie była wprawdzie ze zmową Barbary prowadzona, ale wynikła ona z jakiegoś *Zła*, które taiło się w Barbarze i które w braciach Barbary musiało dojrzeć do brutalnych konjunktur. Co oznacza ten wykrzyknik Barbary: „Na Chrystusa rany! Na Rodzicielkę Jego w Ostrej Bramie — Przysięgam, królu, że głos nieskalany fałszem podniosę; a jeżeli skłamię, niech mnie w śmiertelnej odstąpi godzinie mój Odkupiciel i niechaj mnie ramię Boskie w proch zetrze...“ To nie są tylko słowa... A przecież Barbara nie była z braćmi w zmowie! Dlaczegóż się tak zaklina? Dusza czysta, kryształowa, bez winy żadnej, nie może się przecież tak nagle usprawiedliwiać i zaklinać—bez powodu! Twierdzimy, że Barbara zniewolona jest usprawiedliwiać się i zaklinać... ale nie z powodu faktu brutalnego osaczenia, do którego nie przyłożyła ręki, ale z powodu tego drugiego faktu—tajenia się, którego ostrze wisi nad nią jak miecz Damoklesa. Kobieta kochająca, czysta, nie wpadnie nawet na myśl usprawiedliwiania się w takiej chwili, jaką jest chwila w ogrodzie. Pan Rydel uważa swoją sztukę za dramat, Dyrekcja Teatru Rozmaitości to potwierdza... usprawiedliwianie się Barbary pokazuje zatem, że Barbara jest nieczystą... Występuje tu axiom dramatu jako axiom Bytu praw człowieka. Barbara oszukuje Zygm. Augusta, zdradza się z tem: wije się ona i nie może się rozjaśnić, ani rozjaśnić królewicza. To jest treść podziemna... reszta to są wszystko frazesy i makaronowo dobierane słówka... Wartość dramatu określają nie słowa, ale zawsze najtajniejsza budowlana logika utworu.

Podnieść muszę: dzieło Sztuki niewyklarowane, nieczyste, jak sztuka Rydla, dzieło przemycające treść istotną podziemnym korytarzem pod sprzeczną treścią słów na wierzchu, jest czynnikiem *deprawującym*, skoro jest podawane dla mas jako duchowa strawa. Nie wolno bowiem nikomu, tem mniej masom, podawać produkty podejrzane jako utwory istotnej wartości. Granie tej sztuki na pierwszej scenie polskiej (o jakżeś ty, sceno Żółkowskiego, Rapackiego i Leszczyńskiego podupadła!) przez najlepsze siły, przy maximum wystawy i reżyserji teatralnej, uważam za jeden z momentów obniżających naszą duszę zbiorową...

Twierdzę, że Barbara nie umarła wcale na skutek zażywania medykamentów, przez Rydla głośno opiewanych, że Barbara nie okazywała nigdy nigdzie tych wszystkich dwuznacznych kłamstw, przypochlebiań się, od których jeży się sztuka, ani tej całej *uniżoności* wobec Zygm. Augusta, którą z taką rozkoszą imputuje Barbarze Rydel. Pani Wojewodzina Trocka była księżniczką, a nie „Magdzią“ jakąś lub „Kasią“, miała ona krew sięgającą wyżej od tego wszystkiego, co ujawniają „Złote Więzy“... była *księżniczką o niezaspokojonych planach oparcia świata na tem, co jest piękne i silne.* To zniewalało do wielkiego ruchu Zygm. Augusta... nie jej usta i włosy, jak przypuszcza p. Rydel.

Poeta może nie znać prawdziwych księżniczek w życiu... księżniczka jednak podobna musi istnieć w poecie samym, jako możliwość wewnętrzna, która się prostuje po przez tęsknoty twórcze, skoro poeta jest naprawdę poetą.

Zygmunt August, według Rydla, był erotomanem, który zabłąkał się w małe gniazdko filisterskiego gruchania... w złote więzy. Nieprawda! Słowa na sejmie piotrkowskim wypadały z młodego króla jako tęsknoty Barbary, przetworzone na siłę i piękno charakteru. Może właśnie Barbara *tak bardzo chciała tej korony dla siebie*... aby Zygmunta Augusta, ukochanego przez się człowieka, przeprowadzić po przez trudną i chwilami męczeńską drogę na szczyt jakiś, z którego nigdyby się nie mógł stoczyć... Szczyt został osiągnięty... ona się cofnęła pokorna i cicha nagle... Przeznaczenie Jej zostało spełnione... a Jego Przeznaczenie ciąży nad nami (pokąd będziemy żywi!) i nie przestało ciążyć: to Przeznaczenie, które ujawnionem zostało w kwiecie rozwierającej się Unji.

W Teatrze Rozmaitości grali Osterwa Zygm. Augusta, zaś Szyliżanka Barbarę.

Artyści ci są zbyt jeszcze niewyrobieni oraz izyatycznie niedojrzali, aby mogli wyjść po za role Hokus-pokus, czyli po za role frazesowe i wydobywać ze sztuki granej, to co zostało na jej dnie utajone. Tem zaś byłaby w Złotych Więzach kumoszkowość jakiegoś Pawła i jakiejś Magdusi, postrojonej parki w pióra króla polskiego i królowej polskiej. Wielcy aktorowie umieją to czynić: w wielkich sztukach wydobywają to, co jest ukryte na dnie i walory wydobyte w nat-

chnieniu podnoszą pod gwiazdy, w małych sztukach pretensjonalnych, bezlitośnie odsłaniają maskę pospolitości czającej się po kątach· aktor twórczy bowiem jak i twórca prawdziwy muszą być bezwzględni... co jest wielkie, szczerze prowadzić do wielkości, co jest małe a tylko przedstawia pozory wielkości, demaskować bez litości...

Wielcy aktorowie nie graliby Rydla. W sztuce bowiem Rydla Dyonyzos może tylko rozdzierać... ujawniać zlepek i robotę, pasorzytowanie na twórczości obcej, nędzę istnienia bez Łaski Bożej i bez jednego momentu natchnienia!

Lepiej zaś tworzyć, niż rozdzierać i demaskować... Evoe!

J. KADEN.

# Kronika krakowska.

## POD MOSTEM.

Pod mostem leniwie przeciąga miałki ruch miasta. Toczą się biedne małe wozy, jak graty — snują się ludzie, jak cienie. Wysoko, hen nad ostrym szczytem świętych wież; nad glorją zamku wawelskiego płynie niebo, jakieś bolesne i spłoszone. Bujny odmęt wiosny kłębi się w jego granatowych rozlewach, cały rozmach młodzieńczej pory roku szarpie się w chmurach, i lecą, lecą wiatrem niecierpliwym pędzone ku końcom nieznanym. Na ciemnych powłokach zenitu wicher rozesłał się radosny — wieści przemianę.

Stoję pod łukiem mostu wpatrzony w sławne zarysy miasta. Słodziutki jazgot dzieci, skrzyp wozów, ciżby krok obojętny — wszystko to zlewa się w jeden oddech życia, bliski i szczery.

Zadrżały nademną głuche echa...

Biją potworne, żelazne pulsy coraz rozgłośniej. Łomot się ciska i rozpręża wśród kamienic. Po moście tuż nademną przebiega długi pociąg.

Każdy stuk, każde żelazne uderzenie godzi w me serce... Na barki mi spada ciężar przemożny... Bo wiem, wiem, że tam wraz z pieśnią stłoczonej ciżby — pędzi precz, za kraju tego granice; za nieba tego wiosenne rozpędy, precz — lud głodny. Lud, wiosna pól, uprawa niw, kwiat rozkołysanej łąki.

Łuk mostu tęży się nademną, jak wieko uchylonej trumny... Bo wiem, że tam, w żelaznym zgiełku wozów, w tej porze cudnej wiosny, gnana krzywdą, głodem przednówka trzebiona, uchodzi wiosna narodu; ucieka moc! Bo wiem, że wpośród lichej gospodarki łagodnych pól tej ziemi i dóbr jej urodziwych, jazda ta — to jazda piekielna, nadzieje ojczyzny wrogowi oddająca!! Bo wiem, że w huku tych wozów dokonywa się wywóz opętany, przemysł szalony!!! Zda mi się, że nie zgiełk i nie ciężar kutego żelaztwa lecz cała krzywda tych ludzi, pędzących na zatracenie, wali mi się na barki...

Echa pytają się ech, głos hucznie pędzi za głosem; chmura stalowa rozdziera inną... Jęzory czarnej burzy świszczą na niebie... Zaś hen — wysoko, z bezdeni niebiosów, gnaną precz wiosnę pokolenia błogosławi uśmiechem blasku na wieży kościelnej uwita korona złota. W ciemnościach, szczęce drapieżnej podobna, szczerzy się i błyszczy, jak próchno.

J. K.

# Wrażenia.

LEOPOLD CARO. Socjologja Tom I.

Szczególniejsza książka. Rozpoczyna się, jak praca naukowa, a kończy, jak liche kazanie wiejskiego proboszcza. Autor określa socjologię, jako naukę o «wzajemnem oddziaływaniu jednostek i grup społecznych.» Określenie to nie jest wyczerpujące, gdyż socjologji chodzi przedewszystkiem o odkrycie praw rozwoju społecznego, a więc nietylko o stosunek jednostki do zbiorowości, lecz i o zmiany tego stosunku, o przemiany grup społecznych, wreszcie o przyczyny tych zjawisk. Następnie autor daje bardzo zwięzłą, lecz dość dokładną charakterystykę wszystkich systemów socjologicznych, od Bodin'a i Vico rozpoczynając, a kończąc na Wundt'cie. Klasyfikacja tych systemów jest już więcej dowolna, a ich ocena nader pobieżna. Wreszcie w ostatnim rozdziale «o podstawowych pojęciach ustroju społecznego» — autor w szeregu pobieżnych artykułów załatwia się z historją rodziny, z historją języka, religji, obyczajów, «gospodarstwa», prawa, narodów i państw, aby w końcu przenieść się na grunt współczesnych walk idejowych, uśmiechnąć się łaskawie w stronę socjalizmu, zmiażdżyć wszelki indywidualizm od Odrodzenia do Nietzsche'go, i zapewnić czytelnika, że tylko wiara daje szczęście w tym, a zbawienie w przyszłym życiu... Po drodze autor znajduje czas, aby złożyć głęboki ukłon bohaterom Carlyle'a. Oczywiście — najbardziej ślepo wierzący tłum nie będzie szedł za abstrakcyjnymi dogmatami, lecz za żywymi interpretatorami tych dogmatów. Jednakowoż tego rodzaju «bohaterowie» nazywają się dzisiaj demagogami, bo nawet wybitny człowiek współczesny może się porozumieć tylko z takim zbiorowiskiem, które jest złożone z myślących i krytycznych indywidualności, a więc które nie jest tłumem. Bajka o intelektualizmie, który gasi uczucia i hamuje czyny, jest absolutnie niezgodna z eksperymentalnym charakterem współczesnej wiedzy. Każde doświadczenie jest celowym czynem, a więc zawiera w sobie zarówno moment działania, jak i moment uczucia, które postawiło cel i wywołało skierowane ku niemu działanie. Jednak tego rodzaju celowy czyn nie będzie impulsywnym odruchem pierwotnego

człowieka, a obrońcy wszelkiej wiary dzisiaj tylko na takie odruchy liczyć mogą.

Autor zarzuca ekonomistom liberalnym i socjalistycznym, że pomijają «pierwiastek psychiczny». Zgoda. Zarzut ten najzupełniej podzielam. Jednak żadną miarą nie stosuje się on do większości współczesnych socjologów, którzy dzięki badaniom nad historją religji uwydatnili znaczenie pierwiastka psychicznego, a autorowi piszącemu socjologję o socjologów głównie chodzić powinno. Następnie— pomiędzy uwydatnieniem znaczenia pierwiastka psychicznego w rozwoju ludzkości, a udowodnieniem rzekomej potrzeby wiary w dzisiejszych czasach — jest cała przepaść, której autor zupełnie nie widzi. Te pobudki do czynów szlachetnych, jakie na niższych szczeblach rozwoju daje wiara, dzisiaj czerpiemy w *idejach* filozoficznych, i socjalnych, a ideje te tym są płodniejsze od dogmatów religijnych, że odrzucają wszelkie wysiłki w kierunku życia pozagrobowego, koncentrują naszą energję na działalności czysto realnej i najzupełniej ziemskiej. Autor uzależnia wydawnictwo dalszych części swojej pracy od podniety, jaką mu da ogół po przeczytaniu pierwszego tomu. Co do mnie, to mu tej podniety nie dam.

WŁADYSŁAW L. EVERT: Ciemnie i szały.

Jeszcze jeden tom poezji... Owoc bardzo osobistych przejść podniesionych przez młodego autora do wyżyny drukowanych słów. Podniósł autor czy poniżył przeżycia swe, formę publiczną nadając rzeczom, myślom, stanom nienowym? Wiersz łatwy lecz nie świeży... Patos i w wierszu i w obrazach. Patos, usprawiedliwiony wątłym narazie zakresem techniki twórczej. Jakaż na to wszystko rada? Albo przestać pisać, albo pisać dużo, lecz nie drukować, póki szczera, twórcza forma nte rozkruszy starego nałogu.

## Książki nadesłane do Redakcji.

Cecylja Walewska: «Flirt. Małżeństwo. Opinja.» Warszawa, 1914. Nakładem Kasy przezorności i pomocy warszawskich pracowników księgarskich. Składy główne: Warszawa — Gebethner i Wolff; — Kraków Gebethner i Sp. St. 348.

Orsyd (Anna Limprechtówna): «Własną drogą». Powieść współczesna. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, Lublin, Łódź. St. 340

Rudolf Eucken: «Wielcy myśliciele i ich poglądy na życie». Zagadnienie życia ludzkości w rozwoju dziejowym od Platona do naszych czasów. Z przedmową autora do wydania polskiego. Z 10-go wydania oryginału niemieckiego przełożył dr. Adam Zieleńczyk. Nakładem Henryka Lindenfelda. Warszawa, 1914. St. 432. Skład główny w księgarni E. Wendego i Sp. Odbito czcionkami Drukarni Naukowej w Warszawie, (Mazowiecka 8).

Tadeusz Konczyński: «Bunt». Powieść współczesna. Nakład Gebethnera i Wolffa Warszawa 1914. Lnblin — Łódź — Kraków — New-Jork.

Emma Jeleńska: «Trzy pokolenia». Powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1914. Warszawa — Lublin — Łódź — Kraków — New-Jork. Str. 278.

E. M. Dell: «Szlakiem orła». Przekład z angielskiego H. J. P. Powieść. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Składy główne: E. Wende i Sp. Warszawa. L. Fiszer w Łodzi. Str. 438.

Piotr Jan de Béranger: «Piosenka». Wybór przekładów polskich. Układ Władysława Nawrockiego. Słowo wstępne Jana Lorentowicza. Tom I i II: Str. 205+196. «Muzy» — biblioteka literacko-artystyczna pod redakcją J. Lorentowicza.

Mr. Robert-Huch Benson «Les Confessions d'un Converti». Traduit de l'anglais avec l'autorisation de l'auteur par Teodor de Wyzewa-Librairie Perrni, Paris.

Anatole France: «La Révolte des Anges». Roman. Paris.

Albert Dauzat: «L'expansion italienne» Paris.

Giovanni Papini: «Sul Pragmatismo». Saggi e ricerchi Milano 1913.

Michał Sokolnicki: «Skrzynecki». Studjum strategiczne. Tom II wydawnictwa historyczno-wojskowego, podjętego przez Karola Rzepeckiego w Poznaniu. Pod redakcją d-ra Marjana Kukiela we Lwowie. Ilustracje Zygmunta Pozwadowskiego. Str. 126. Cena kop. 60.

Rocznik Statystyczny Królestwa Polskiego. Rok 1913 W opracowaniu Biura Pracy Społecznej pod kierunkiem Władyława Grabskiego. Warszawa, Skład główny u Gebethnera i Wolffa. 1914.

G. K. Chesterton: «Delegat Anarchistów». Powieść. Str. 280. Warszawa 1914 F. Hoesik.

Herman Bang: Powieść. Tłomaczyła Br. Neufeldówna. Str. 375. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Składy główne: E. Wende i Sp. w Warszawie, Ludwik Fiszer w Łodzi.

Jadwiga Lipińska: «Kwiaty Maku». Wydawnictwo Ultima Thule. Skład główny: Księg. I. Rzepeckiego w Warszawie.

Bernard Kellerman: «Głupiec». Powieśc. Przekład z upoważnienia autora Melanji Łaganowskiej. Str. 466. Warszawa 1914. F. Hoesick.

Jan St. Mar: «Pajęczyna». Powieść. Str. 202. Warszawa 1914. F. Hoesick.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

Redaktor: Wincenty Rzymowski. Wydawca: Józef Jabłoński

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.